James H. Schmitz

Zdarzenie na Drodze 12

(An Incident On Route 12)

`

If, January, 1962
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Miał już na koncie kradzież i gotów był ukraść ponownie. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że on sam stał tylko łupem!

Phil Garfield jechał właśnie Drogą numer Dwanaście, kiedy nagle, jakieś trzydzieści mil na południe od małego miasteczka Redmon, zaskoczyła go seria ostrych, klekoczących odgłosów. Dobiegały dokładnie spod pokrywy silnika jego Packarda.

Samochód natychmiast zaczął tracić szybkość. Garfield wcisnął pedał gazu i, widząc brak reakcji silnika, poczuł jak ogarnia go całkowita bezradność. Packard toczył się do przodu wyłącznie siłą bezwładności, z wolna tracąc rozpęd, aż w końcu stanął w miejscu.

Phil Garfield zaklął lekko drżącym głosem. Sprawdził czas na zegarku, wyłączył przednie światła i wysiadł z samochodu na ciemną drogę. Opóźnienie nawet o pół godziny, mogło mieć katastrofalne skutki. Było już po północy, a on miał do przejechania jeszcze sto dziesięć mil. Musiał dotrzeć do małego prywatnego lotniska, na którym na niego oraz na znajdujące się w walizce na przednim siedzeniu Packarda trzydzieści tysięcy dolarów, czekał Madge.

Jeżeli nie uda mu się dojechać przed świtem…

Pomyślał o strażniku z banku. Ten dureń musiał podjąć niezdarną próbę odgrywania bohatera, i to załatwiło tę durną babę, która wrzeszcząc wbiegła na linię ich strzałów. Jedna ofiara. Być może nawet dwie. Garfield nie zatrzymał się, aby przejrzeć wieczorne gazety.

Jednak i bez tego wiedział, że na niego polują.

Rozejrzał się po drodze, w jedną i w drugą stronę. W tej chwili, jak okiem sięgnąć, nie było widać reflektorów żadnego innego samochodu. Również na porośniętych lasem wzgórzach nie paliły się światła żadnych zabudowań. Podszedł więc z powrotem do samochodu, wyciągnął z walizki swój pistolet, dużą latarkę i wziął stojące obok walizki pudełko z nabojami. Rozerwał opakowanie pudełka i wepchnął do kieszeni płaszcza pełną garść naboi oraz 38-kę. Potem przeniósł walizkę i latarkę na drugą stronę drogi i położył je na ziemi.

Nie było sensu grzebać pod maską Packarda. Kiedy przychodziło do mechaniki, Garfield był kompletnym ignorantem i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ten samochód teraz był już dla niego bezużyteczny… chyba, że jako przynęta.

Jako przynęta mógł być nie tylko użyteczny, ale nawet bardzo przydatny.

Czy powinien zostawić go tam gdzie stał teraz? Nie, zdecydował Garfield. Dla kogoś przejeżdżającego obok, mógłby co najwyżej sugerować jakąś obłapiającą się parkę w środku, albo pijaka odsypiającego swoje,

zanim wyruszy w dalszą drogę do domu. Być może musiałby czekać godzinę albo nawet i dłużej, zanim ktoś zdecydowałby się zatrzymać. Nie miał tyle czasu. Sięgnął ręką przez okno, do środka samochodu, pociągnął do siebie za górną część kierownicy i naparł całą masą ciała na tylną ramę okna.

Packard powoli przesunął się do tyłu, wytaczając się na środek i stając w poprzek drogi, na skos. Po kilku kolejnych chwilach, znalazł się na właściwym miejscu. Nie blokował drogi całkowicie, co mogłoby wzbudzić jakieś podejrzenia, ale stał na jej części, pod kątem, z wyłączonymi światłami, pusty, z otwartymi przednimi drzwiami, zachęcając przejeżdżających obok kierowców, do zatrzymania się i sprawdzenia co się stało.

Garfield przeniósł walizkę i latarkę, z powrotem na prawą stronę jezdni i przeciskając się przez poszycie między drzewami, ruszył w górę rozciągającego się tuż obok drogi zbocza. Położył walizkę pomiędzy krzakami, wyciągnął z kieszeni .38, kliknął bezpiecznikiem broni i rozpoczęło się oczekiwanie.

Jakieś dziesięć minut później zobaczył blask przednich świateł samochodu, jadącego drogą 12 od strony Redmon. Phil Garfield przyklęknął na jedno kolano, zanim jeszcze znalazł się w zasięgu reflektorów. Teraz był zupełnie skryty za krzakami.

Samochód podjeżdżając bliżej zaczął zwalniać, niemal zatrzymując się w odległości sześćdziesięciu stóp od stojącego Packarda. W środku siedziało kilkoro ludzi; Garfield usłyszał ich głosy, a potem głośny kobiecy śmiech. Kierowca na próbę nacisnął dwa razy na klakson, powoli poruszając się do przodu. Kiedy tylko minęły go promienie przednich reflektorów, Garfield wstał, nadal kryjąc się pomiędzy krzewami, i zrobił kilka kroków w kierunku drogi, podnosząc w górę broń.

Wtedy nagle, kątem oka pochwycił odległy blask reflektorów, kolejnego samochodu nadjeżdżającego od strony Redmon. Szeptem zaklął pod nosem i odskoczył, chowając się z powrotem w lesie. Znajdujący się tuż przed nim samochód, dojechał do Packarda, ostrożnie go objechał i potoczył się dalej, przyśpieszając z nagłym rykiem silnika.

****

Drugi z samochodów zatrzymał się, kiedy znajdował się jeszcze nadal w odległości ponad stu jardów, chwytając Packarda w nieruchomy obręb blasku swoich świateł. Garfield słyszał jednostajny pomruk potężnego silnika.

Niemal przez minutę nic się nie działo. Potem samochód delikatnie ruszył do przodu, zatrzymując się ponownie, nie dalej niż trzydzieści stóp, po lewej ręce Garfielda. Mógł go teraz zobaczyć, przez zarośla, w których był schowany. Potężna sztuka, długi, niski, czterodrzwiowy sedan. Jego

silnik ciągle mruczał. Po chwili otworzyły się drzwi po drugiej stronie samochodu, a następnie usłyszał jak zamykają się z trzaskiem.

Jakiś człowiek szybko wkroczył w krąg blasku reflektorów, i ruszył w kierunku Packarda.

Phil Garfield podniósł się z kucków, trzymając .38 w prawej ręce, a latarkę w lewej. Jeżeli kierowca był sam, to cała sprawa była po prostu bułką z masłem! Ale jeśli w samochodzie był ktoś jeszcze, ktoś zdolny do szybkiej, zdecydowanej akcji, każdy błąd popełniony podczas następnych dziesięciu sekund, mógł kosztować go sedana, a w konsekwencji prawdopodobnie również wolność i życie. Garfield ustawił przyrządy celownicze 38-ki na środek głowy zbliżającego się człowieka. Wypuścił powoli powietrze, kiedy facet zrównał się z nim na drodze, i oddał pojedynczy strzał.

Natychmiast ruszył schylony w dół zbocza, wyskakując na jezdnię. Pocisk odrzucił mężczyznę na bok, na pobocze. Garfield przemknął obok niego z lewej strony, przecinając błyskawicznie promień reflektorów, i po chwili był już z powrotem w ciemności, po drugiej stronie drogi. Pstryknął włącznikiem latarki i ruszył ostrym sprintem w kierunku samochodu.

Motor nadal cicho pomrukiwał. Światło latarki pokazało, że siedzenia są puste. Garfield upuścił ją na ziemię, potem szarpnął za klamki, otwierając niemal jednocześnie przednie i tylne drzwi, i celując pistoletem do wnętrza samochodu. Przez chwilę stał bez ruchu, czując się słabo i próbując opanować wirowanie w głowie, z ulgi.

W środku samochodu nie było nikogo. Sedan był jego.

Człowiek, którego postrzelił w głowę, leżał na boku drogi twarzą do ziemi, kapelusz odleciał od niego na odległość kilkunastu stóp. Droga 12 ciągle pogrążona była w egipskich ciemnościach, zarówno w kierunku zachodnim, jak i wschodnim. Powinien mieć wystarczająco dużo czasu na to, aby trochę posprzątać, zanim ktokolwiek tutaj nadjedzie. Garfield zniósł na dół walizkę i położył ją na przednim siedzeniu sedana, potem ruszył z powrotem, żeby zabrać swoją ofiarę z drogi i gdzieś ukryć. Cisnął kapelusz mężczyzny w krzaki, a następnie nachylił się nad nim samym. Schwycił go za kostki nóg, i zaczął ciągnąć zwłoki na lewą stronę drogi, gdzie zaraz za poboczem teren ostro opadał.

Nagle, poruszone przez niego ciało wydało z siebie wysoki piszczący dźwięk, i zaczęło gwałtownie wić się i rzucać na wszystkie strony.

****

Wstrząśnięty Garfield puścił nogi swojej ofiary i pośpiesznie wyciągnął z kieszeni pistolet, robiąc krok do tyłu. Piszczący odgłos stawał się coraz głośniejszy, a ranny człowiek kilka razy gwałtownie podskoczył, klapiąc o ziemię jak walcząca o oddech ryba, wymachując rękoma i nogami, z zadziwiającą energią. Garfield odciągnął z trzaskiem bezpiecznik i trzykrotnie wsadził kule w plecy ofiary.

Przerażające piski, nagle się urwały. Ciało szarpnęło się jeszcze ze dwa razy, a potem leżało już bez ruchu.

Garfield wepchnął broń z powrotem do kieszeni. Niespodziewane komplikacje wytrąciły go z równowagi i kiedy ponownie sięgał na dół, do kostek obcego, ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania. Nagle raptownie cofnął ręce i wyprostował się, wpatrując się z niedowierzaniem w leżące u jego stóp ciało.

Z boku piersi mężczyzny, kilka cali poniżej jego prawego ramienia, przez tkaninę płaszcza, wystawało teraz coś w rodzaju grubego czarnego pręta, o długości trzech stóp.

Domniemany pręt jaśniał, błyszcząc wilgocią, w świetle reflektorów samochodu. Nawet w tej pierwszej chwili, kompletnego zaskoczenia i niezrozumienia, coś w jego wyglądzie wzbudziło w gardle Garfielda falę obrzydliwego wstrętu. Potem pręt powoli wygiął się pod ostrym kątem, w połowie swojej długości, a jego zakończenie uformowało coś, co wyglądało jak trzy tępe czarne szpony, skrobiące po omacku po nawierzchni jezdni. Ponownie zaczął się pisk, tym razem słabiutki i cichy, a ciało znowu wygięło się w łuk, jakby jakaś kolejna patykowata ręka desperacko odpychała je od znajdującej się pod spodem ziemi.

Garfield działał we mgle przerażenia. Opróżnił magazynek .38 w leżącą u jego stóp rzecz, niemal nie zdając sobie sprawy z tego co robi. Potem rzucił broń, złapał za jedną z kostek i podbiegł do krawędzi drogi, ciągnąc ciało za sobą.

Puścił je w ciemności panującej na brzegu drogi, obiegł dużym łukiem z drugiej strony i dwoma szaleńczymi, dzikimi kopniakami, posłał w dół rozciągającego się za poboczem stromego zbocza. Słyszał jak spadając przez kilka sekund przelatuje przez krzaki, i potem zatrzymuje się gdzieś w dole. Odwrócił się i pośpieszył do sedana, podnosząc w biegu leżący na jezdni pistolet. Wskoczył na siedzenie kierowcy i zatrzasnął za sobą drzwi.

Kiedy naciskał rozrusznik, jego ręce gwałtownie dygotały na kierownicy. Silnik zaskoczył z rykiem, i wielki samochód popłynął do przodu. Garfield ominął stojącego Packarda, głośno przeklinając, wstrząśnięty i przerażony, wcisnął do deski pedał gazu i błyskawicznie ruszył Drogą Dwanaście, ścigając się z podążającą przed nim i za nim ciemnością.

****

C*o to mogło być*? Jakieś stworzenie, które miało założone na siebie coś w rodzaju ludzkiego ciała, tak jakby nosiło ubranie. Poruszało tym ciałem podobnie jak to robi człowiek, kierowało samochodem… samo zaś miało ręce i nogi jak karaluch!

Garfield złapał długi, drżący oddech. Wtedy, zwalniając przed zakrętem, zobaczył w lusterku wstecznym iskierkę czerwonawego światła.

Przez chwilę wpatrywał się w tę iskierkę. Zahamował ostro, zatrzymując się niemal w miejscu. Opuścił korbką szybę bocznego okna i popatrzył do tyłu.

Daleko za nim, przy Drodze Dwanaście, płonął ogień. Mniej więcej w miejscu, gdzie zepsuł się Packard, gdzie ciało tego dziwnego stworzenia, stoczyło się z drogi w krzaki…

Istota, dodał w myślach Garfield, która kiedy nadszedł czas jej śmierci, uruchomiła proces automatycznej destrukcji w płomieniach, żeby jej sekrety pozostały w mroku…

Dla niego jednak ten płomień oznaczał koniec koszmaru. Podniósł szybę okna, wyjął papierosa, zapalił go i nacisnął pedał gazu…

W tej samej chwili, z niedowierzaniem i strachem poczuł, że przód pojazdu unosi się skośnie w górę, a reflektory zamiatają wierzchołki drzew.

Wtedy przednie światła mrugnęły i zgasły. Widać było przez szybę, jak gałęzie drzew pędzą w dół, mu na spotkanie, a razem z nimi całe nocne niebo. Szaleńczo złapał za klamkę u drzwi.

W kompletnej ciszy jego oba ramiona objął niemal stalowy uścisk, przyciskając je do boków i unieruchamiając w tej pozycji. Garfield złapał oddech, uniósł wzrok, spoglądając w lusterko i zobaczył w nim parę lekko jarzących się, czerwonych oczu, obserwujących go z tyłu samochodu. Były dwie istoty… druga skrywała się za nim, tak że nie był w stanie jej zobaczyć, i mocno go przytrzymywała. Musiały siedzieć w tym, co wyglądało jak bagażnik. A teraz z niego wyszły.

Oczy w lusterku znikły. Wilgotne, czarne, karaluchowate ramię, sięgnęło nad oparciem fotela obok Garfielda, podniosło papierosa, którego upuścił i zgasiło go straszliwie ludzkim gestem. Następnie zabrało pistolet Garfielda i cofnęło się gdzieś poza zasięg jego wzroku.

Czekał na strzał, ale ten nie następował.

Nie dziurawi się kulą ubrania, które ma się zamiar nosić…

Twardy Phil Garfield nie zaczął wrzeszczeć, dopóki ta myśl nie przyszła mu do głowy. W kilka minut później, jednak nadal wrzeszczał, gdy za przednią szybą, pośród gwiazd, zobaczył płynący w jego kierunku statek kosmiczny.

KONIEC